



Michael Grant, GONE: Zniknęli. Faza czwarta: Plaga

ROZDZIAŁ 1 72 GODZINY, 7 MINUT

Sam Temple był pijany.

Stanowiło to dla niego nowe doświadczenie. Miał piętnaście lat. Kilka razy zdarzyło mu się tyknąć wina z barku matki. Kiedy miał trzynaście lat, wypił pół piwa. Chciał sprawdzić, jak smakuje. Nie przypadło mu do gustu, było zbyt gorzkie.

Przed ETAP-em raz zaciągnął się jointem. Zaniósł się kaszlem, po czym przez godzinę czuł się dziwnie i słabo. To nigdy nie było w jego stylu. Nigdy nie należał do imprezowego tłumu.

Tej nocy jednak poszedł sprawdzić, co dzieje się z uwięzionym potworem, który był jednocześnie Brittney i Drakiem i usłyszał złośliwe, obsceniczne groźby i okrzyki szalonej, morderczej wściekłości. A potem, co gorsza, usłyszał, jak Brittney błaga o śmierć.

– Sam, wiem, że mnie słyszysz – jęczała przez zabarykadowane drzwi. – Wiem, że tam jesteś, słyszałam twój głos. Nie mogę dłużej tego wytrzymać. Sam, skończ z tym. Proszę cię, błagam, pozwól mi odejść, pozwól mi pójść do nieba.

Tego samego wieczora, ale nieco wcześniej, poszedł odwiedzić Astrid. Nie poszło najlepiej. Astrid się starała, on się starał, ale zbyt wiele złego stało się między nimi. Ich przeszłość była zbyt trudna.

Pocałował ją. Przez chwilę odwzajemniała pocałunek. A potem odepchnęła go. Jego ręce powędrowały tam, gdzie tak bardzo chciał je położyć. A ona go odsunęła.

– Dobrze wiesz, że odmówię, Sam – powiedziała.

– Tak, domyśliłem się – odparł ze złością i frustracją, próbując jednak zachować pozory spokoju.

– Jak myślisz, jak szybko wszyscy się o nas dowiedzą?

– To nie dlatego się ze mną nie prześpisz – powiedział Sam. – Nie zrobisz tego, bo ci się wydaje, że to będzie oznaczać utratę kontroli. A tobie zależy tylko na tym, by ją zachować, Astrid.

To była prawda. A przynajmniej Sam tak sądził. Gdyby jednak był naprawdę szczery, a nie tylko wściekły, przyznałby, że Astrid miała swoje własne problemy. Że była przepełniona poczuciem winy i nie potrzebowała kolejnego powodu, by czuć się jeszcze gorzej.

Mały Pete był w śpiączce. Astrid obwiniła się, choć było to głupie, a ona przecież głupia nie była.

Mały Pete był jednak jej bratem. Odpowiadała za niego.

Był jej ciężarem.

Po tym niepowodzeniu Sam przyglądał się, jak Astrid karmi nieruchomego Pete'a zupą z ryb i karczochów. Mały Pete na szczęście był w stanie połykać. Chodził, jeśli się go poprowadziło. Umiał używać dołka wykopanego na podwórzu za domem, jednak Astrid musiała go podcierać. Na tym polegało teraz jej życie. Była pielęgniarką autystycznego chłopca, w którym skupiała się cała moc ich świata. Więcej niż autystycznego: Mały Pete w ogóle nie istniał. I nie było sposobu, by dowiedzieć się, gdzie znajduje się jego dziwny umysł.

Astrid nie przytuliła Sama, kiedy powiedział, że wychodzi. Nie dotknęła go nawet.

Tak wyglądał wieczór Sama. Astrid i mały Pete. I dwoiste monstrum, którego pilnowali Orc z Howardem.

Gdyby Drake'owi udało się jakoś uciec, prawdopodobnie tylko dwie osoby mogłyby mu stawić czoła: Sam i Orc. Sam potrzebował Orca, by ten pilnował Drake'a. Zignorował więc butelki, ustawione za kanapą Orka i „skonfiskował” tylko tę, która stała na widoku, na kuchennej ladzie.

– Wyrzucę to – powiedział do Howarda. – Dobrze wiesz, że to nielegalne.

Howard wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekko. Jakby wiedział. Jakby zobaczył błysk chciwości w oczach Sama. Jednak wtedy nawet Sam jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy. Zamierzał rozbić butelkę albo wyrzucić ją gdzieś na ulicy.

Zamiast to zrobić, niósł ją jednak ze sobą. Przez ciemne ulice. Wzdłuż spalonych, pełnych duchów domów. Wzdłuż cmentarza. Aż na plażę. Otworzył butelkę, gotowy, by wylać zawartość na piasek. Zamiast tego jednak pociągnął łyk.

Palił niczym ogień.

Pociągnął kolejny łyk. Palił już nieco mniej.

Ruszył wzdłuż plaży. Serce podpowiadało mu, dokąd idzie. Wiedział, że stopy prowadzą go do klifu.

Teraz, wiele łyków później, stał chwiejnie na szczycie klifu. Wpływu alkoholu nie dało się zignorować. Wiedział, że jest pijany.

Spojrzał w dół, na mały łuk linii brzegowej u podstawy klifu. Delikatna fala malowała błyszczące linie na ciemnym piasku.

Mary przyprowadziła dzieci właśnie w to miejsce, przygotowując je do samobójczego skoku. Dzieci przeżyły tylko dzięki heroicznemu wysiłkowi Dekki.

Teraz Mary już nie było.

– Twoje zdrowie, Mary – Sam uniósł butelkę i zaczerpnął głęboki haust.

Zawiódł Mary. Od samego początku to ona zajmowała się maluchami. Niosła ten ciężar niemal samotnie. Sam widział rezultaty jej anoreksji i bulimii. Nie zdawał sobie jednak sprawy, co się z nią dzieje, albo nie chciał zdawać sobie z tego sprawy.

Słyszał plotki o tym, że Mary bierze wszystkie leki, jakie uda jej się znaleźć, cokolwiek, co mogłoby uleczyć jej depresję.

O tym też nie chciał wiedzieć.

Przede wszystkim powinien był przewidzieć zamiary Nerezy, powinien mieć wątpliwości, powinien nalegać. Powinien. Powinien. Powinien...

Kolejny haust płynnego ognia. Od płomienia chciało mu się śmiać. Śmiał się na plaży, na której umarła Orsay, fałszywa prorokini.

– Do zobaczenia, Mary. – Uniósł butelkę w ironicznym toaście. – Przynajmniej się stąd wydostałaś.

Tego dnia, kiedy Mary odeszła, bariera na sekundę zniknęła. Zobaczyli świat zewnętrzny: platformę obserwacyjną, telewizyjny wóz satelitarny, konstrukcję pełną fast foodów i tanich hoteli.

To wszystko wydawało się bardzo, bardzo rzeczywiste. Ale czy było? Astrid twierdziła, że nie, że to tylko kolejna iluzja. Astrid nie wydawała się jednak osobą uzależnioną od prawdy.

Sam zachwiał się na krawędzi klifu. Tęsknił za Astrid, a alkohol nie był w stanie tego stłumić. Tęsknił za dźwiękiem jej głosu, za ciepłem jej oddechu na swojej szyi, za jej ustami. Tylko dzięki niej jeszcze nie zwariował. Teraz jednak to ona była źródłem szaleństwa, gdyż jego ciało domagało się tego, czego ona nie chciała mu dać. Bycie z nią wypełniały już tylko ból i pustka.

Bariera znajdowała się o kilka metrów od niego. Nieprzenikniona. Nieprzezroczysta. Jej dotknięcie bolało. Błyszcząca, szara kopuła ograniczała dwadzieścia mil wybrzeża Południowej Kalifornii, tworząc wielkie terrarium. Albo zoo. Albo wszechświat.

Albo więzienie.

Sam próbował skoncentrować na niej spojrzenie, ale jego oczy były zbyt rozbiegane. Z przesadą właściwą ludziom pijanym odstawił butelkę. Wyprostował się. Spojrzał na swoje dłonie. Wyciągnął ramiona przed siebie, wnętrza dłoni kierując ku barierze.

– Nienawidzę cię – powiedział do niej.

Z jego dłoni wytrysnęły dwa identyczne snopy zielonego światła. Skupiony, elektryczny prąd.

– Aaaach! – zawołał Sam.

Zaklął głośno. Wystrzelił ponownie.

Światło uderzyło w barierę, nic się jednak nie wydarzyło. Nic się nie spaliło. Nie było dymu.

– Pal się! – wrzasnął Sam. – Pal się!

Posłał płomienie wyżej, uderzając w zagięcie bariery. Wściekał się, wył i buchał płomieniami. Na próżno. Raptownie osunął się za ziemię. Jasny płomień zgasł. Niezdarnie sięgnął po butelkę.

– Ja ją mam – rozległ się głos za jego plecami.

Sam odwrócił się, szukając jego źródła. Był pewien, że głos należał do dziewczyny, ale nie mógł jej znaleźć. Podeszła, tak by ją zobaczyć. Taylor.

Taylor była ładną Azjatką, która nigdy nie ukrywała swojego zainteresowania Samem. Ona również była mutantem, jej siła teleportacji wynosiła trzy kreski. Potrafiła momentalnie znaleźć się w dowolnym miejscu, nawet takim, którego nie widziała nigdy wcześniej. Nazywała to „skakaniem”.

Miała na sobie T-shirt i szorty. Rozwiązane trampki włożone na bose stopy. Nikt już się porządnie nie ubierał. Ludzie zakładali cokolwiek, co było chociaż w miarę czyste. Nikt też nie ruszał się bez broni. Taylor miała duży nóż w ładnej, skórzanej pochwie.

Nie była tak piękna jak Astrid. Nie była też jednak zimna, zdystansowana i nie patrzyła na niego oskarżycielskim wzrokiem. Widok Taylor nie napełniał go też wspomnieniami pełnymi miłości i gniewu.

Nie była to też dziewczyna, która znajdowała się w centrum jego myśli przez ostatnie miesiące. Nie była to dziewczyna, przez którą czuł się jak głupiec, sfrustrowany i zażenowany. Przez którą czuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek wcześniej.

– Hej, Taylor. Skacząca Taylor. Co tam?

– Widziałam światło – powiedziała Taylor.

– Tak. Składam się tylko ze światła – wymamrotał Sam.

Niezdarnie wyciągnęła butelkę przed siebie, jakby nie była pewna, co powinna z nią zrobić.

– Nie – odsunął ją. – Myślę, że już mi starczy. A ty? – mówił bardzo ostrożnie, starając się nie mamrotać. Nie udawało mu się. – Chodź, usiądź ze mną, Taylor, skacząca Taylor.

Zawahała się.

– No chodź, nie ugryzę cię. Fajnie jest porozmawiać z kimś... normalnym.

Taylor nagrodziła go lekkim uśmiechem.

– Nie wiem, na ile jestem normalna.

– Jesteś bardziej normalna niż inni. Właśnie sprawdzałem, co dzieje się z Brittney – odparł Sam. – W tobie nie mieszka potwór, prawda, Taylor? Czy musisz tkwić zamknięta w piwnicy, bo siedzi w tobie psychol z biczem zamiast ręki? Prawda? No widzisz? Och, Taylor, jesteś taka normalna!

Spojrzał na barierę, na nieporuszoną, spokojną barierę.

– Czy błagałaś kiedyś, by ktoś cię spalił na popiół, tak żebyś mogła pójść do Jezusa, Taylor? Nie. Widzisz, o to właśnie prosi Brittney. Więc jesteś całkiem normalna, skacząca Taylor.

Usiadła obok niego. Niezbyt blisko. Tak blisko jak koleżanka, tak blisko, jakby chciała porozmawiać. Sam nic nie powiedział. W jego głowie walczyły dwie przeciwstawne pokusy.

Jego ciało domagało się, by iść na całość. A jego umysł... cóż, jego umysł wymykał mu się spod kontroli.

Wyciągnął rękę, by chwycić dłoń Taylor. Nie odsunęła jej. Pogładził ją dłonią po ramieniu. Zesztywniała lekko i rozejrzała się wokół, upewniając się, że nikt ich nie podgląda. Albo, być może, w nadziei, że ktoś ich jednak widzi.

Jego ręka dosięgła jej szyi. Pochylił się nad nią i przyciągnął do siebie. Pocałował ją. Odwzajemniła pocałunek. Pocałował ją mocniej. Ona włożyła dłoń pod jego koszulkę, muskając palcami jego blade ciało.

Odsunął się nagle.

– Przepraszam, ja...

Zawahał się, czując, jak jego umysł walczy z rozpalonym ciałem.

Wstał gwałtownie i ruszył przed siebie.

Taylor za jego plecami roześmiała się wesoło.

– Przyjdź do mnie, kiedy przestaniesz wzdychać do królowej śniegu.

Poczuł nagły, silny wiatr. W każdej innej chwili, w innych okolicznościach, zauważyłby, że wiatr nie zawiął w ETAP-ie jeszcze nigdy wcześniej.

ROZDZIAŁ 2 72 GODZINY, 4 MINUTY

To niesamowite, jak porządny posiłek mógł poprawić wygląd głodującej dziewczyny.

Diana patrzyła na siebie w lustrze. Miała na sobie czyste majtki i biustonosz. Była chuda, bardzo chuda. Jej kolana i stopy wydawały się dziwnie powiększone. Mogła policzyć wszystkie żebra. Jej brzuch był wklęsły. Przestała miesiączkować, a jej piersi stały się tak małe, jak wtedy kiedy miała dwanaście lat. Obojczyki wyglądały jak wieszaki na ubrania. Twarzy niemal nie dało się rozpoznać. Wyglądała jak heroinistka.

Jej włosy były jednak ładniejsze, ciemniejsze. Rdzawy kolor i łamliwość, spowodowane głodem, zniknęły. Jej oczy nie były już martwymi, pustymi dziurami w czaszce. Teraz błyszczały w delikatnym świetle lampy.

Była żywym człowiekiem.

Dziąsła nie krwawiły już tak bardzo. Znowu stały się różowe, nie czerwone, mniej spuchnięte. Może uda jej się nie stracić zębów.

Głód. Sprawiał, że zjadła ludzkie mięso. Była kanibalem. Głód pozbawił ją człowieczeństwa.

– Nie do końca – powiedziała Diana do swojego odbicia w lustrze. – Nie do końca.

Kiedy dowiedziała się, że Caine zamierza zniszczyć helikopter z Sanjitem, jego braćmi i siostrami, poświęciła własne życie. Skoczyła z klifu, żeby zmusić Caine'a do dokonania wyboru: uratować ją czy zabić dzieci. Tym aktem poświęcenia z pewnością odkupiła winę odgryzienia, przeżucia i połknięcia gotowanego kawałka piersi Pandy.

Na pewno zostało jej to wybaczone. Chociaż w części. Dobrze? Proszę, Boże, jeśli istnieje, powiedz, że odkupiłam swoje winy.

To jednak nie wystarczało. Nie mogło wystarczyć. Musiała zrobić więcej. Przez resztę swojego życia musiała robić więcej.

Poczynając od Caine'a.

Wykazał się odrobiną człowieczeństwa, ratując ją i pozwalając uciec swoim ofiarom. To niewiele. Ale zawsze coś.

A gdyby tylko potrafiła go zmienić...

Dźwięk. Bardzo cichy. Szurnięcie stopy o dywan.

– Wiem, że tam jesteś, Robalu – powiedziała Diana spokojnie, nie patrząc za siebie. Nie chciała dać temu potworkowi satysfakcji. – Jak sądzisz, co Caine by ci zrobił, gdybym powiedziała mu, że podglądasz mnie w bieliźnie?

Robal nie odpowiedział.

– Czy nie jesteś trochę za młody na to, by być zbrojcem?

– Caine mnie nie zabije – powiedział bezcielesny głos. – Potrzebuje mnie.

Diana podeszła do podwójnego łóżka. Założyła szlafrok, który wybrała spośród wielu wiszących w szafie. Należały do kobiety, która była kiedyś właścicielką sypialni – znanej aktorki o wyrafinowanym guście, która nosiła ubrania tylko o rozmiar większe niż Diana.

Jej buty też pasowały niemal idealnie. Było tam około siedemdziesięciu par butów najlepszych marek. Diana wsunęła stopy w wełniane kapcie.

– Jeśli będę się chciała ciebie pozbyć, Robalu, wystarczy żebym powiedziała Caine'owi, że twoja moc rośnie. Powiem mu, że zaraz będziesz miał cztery kreski. Jak sądzisz, co robi, kiedy się dowie, że ktoś o takiej mocy jest z nim na wyspie?

Robal powoli wszedł w jej pole widzenia. Był zadzierającym nosa bachorem. Właśnie skończył dziesięć lat.

Przez chwilę Diana poczuła do niego coś w rodzaju współczucia: Robal był pokreconym małym zbrojcem. Jak wszyscy pozostali był przestraszony i samotny, być może nawet ciążyło mu to wszystko, co zrobił. Albo i nie. Robal nigdy nie wykazał się choćby odrobiną sumienia.

– Jeśli chcesz oglądać nagie dziewczyny, czemu nie pójdziesz popatrzeć na Penny?

– Ona nie jest ładna – powiedział Robal. – Jej nogi są całe... – pokręcił palcami, chcąc zademonstrować ich wygląd. – I śmierdzi.

Penny więcej jadła, tak jak Diana. Czuła się jednak gorzej. Spadła z wysokości stu stóp na wodę i skały. Caine uniósł ją z powrotem na klif. Ale jej nogi połamały się w kilkunastu miejscach.

Diana robiła, co mogła, żeby złożyć złamania, przygotowała szyny z desek i taśmy klejącej, Penny cierpiała jednak straszliwie. Miała już nigdy nie chodzić. Jej nogi nigdy nie wyzdrowieją.

Mieszkała teraz w jednej z łazienek, żeby w razie potrzeby móc unieść się na toaletę. Diana dwa razy dziennie przynosiła jej jedzenie. Miała także książki i telewizor z odtwarzaczem DVD. W domu na wyspie San Francisco de Sales wciąż była elektryczność. Generator dostarczał słabego, niestabilnego prądu. Kiedy Sanjit tam mieszkał, martwił się, że paliwo do generatora się kończy. Caine potrafił jednak robić rzeczy, których Sanjit nie umiał. Na przykład przenosić beczki paliwa z wraku jachtu rdzewiejącego na dnie klifu. Dianie, Caine'owi i Robalowi było tam bardzo wygodnie. Życie Penny już nigdy nie miało być wygodne. Jej moc – umiejętność ukazywania innym przerażających wizji potworów, wgrzyżających się w ciało insektów i śmierci – nie mogła jej teraz w niczym pomóc.

– Boisz się jej, prawda, Robal? – spytała Diana. Roześmiała się. – Próbowalesz, co? Podglądałeś ją, a ona cię przyłapała.

Odpowiedź widniała na twarzy Robala. Ciężkie przerażające wspomnienia.

– Lepiej nie złościć Penny – powiedziała Diana. Włożyła spodnie i uderzyła Robala w piegowaty policzek. – Mnie też lepiej nie złościć. Przeze mnie nie zobaczysz potworów, ale

jeśli jeszcze raz przyłapię cię na podglądaniu, powiem Caine'owi. Albo ja, albo ty. Dobrze wiesz, kogo wybierze.

Diana wyszła z pokoju.

Postanowiła być lepszym człowiekiem. Będzie nim, jeśli tylko Robal przestanie jej przeszkadzać.

Trzy Jennifer. Tak się nazywały. Jennifer B. była ruda, Jennifer H. była blondynką, a Jennifer L. nosiła czarne dredy. Przed ETAP-em nawet się nie znały.

Jennifer B. była dziewczyną z Coates, Jennifer H. uczyła się w domu. Tylko Jennifer L. chodziła do normalnej szkoły. Dwie z nich miały dwanaście, a jedna trzynaście lat. I przez ostatnie dwa miesiące mieszkały razem w domu położonym w zaułku, daleko od centrum. Był to dobry wybór: wielki pożar nie dotarł w pobliże budynku.

Teraz jednak miejsce nie wydawało się już tak dogodne.

Tak zwany szpital znajdował się wiele ulic dalej, a każdej z nich przydałby się tylenol czy coś podobnego, bo wszystkie miały podobny ból głowy, podobnie zeszywniałe mięśnie i taki sam, duszący kaszel.

Wszystkie objawy wystąpiły dwadzieścia cztery godziny wcześniej i dziewczęta właśnie zdały sobie sprawę, że oto dopada je grypa. Wcześniej w ETAP-ie była już jedna epidemia grypy, która zaatakowała wiele dzieci, choroba nie była jednak niebezpieczna, po prostu unieruchamiała wiele osób, które powinny w tym czasie pracować.

Jennifer B. – Jennifer Boyles – spała nie dłużej niż godzinę, gdy obudził ją głośny, natarczywy dźwięk, dobiegający z bliska. Nie z zewnątrz, tylko z pokoju obok.

Usiadła na łóżku, walcząc z zawrotami głowy. Jeśli coś próbowało dostać się do domu, żeby ją zabić, tym lepiej – czuła się, jakby już zgniła.

Kkkrrraaafff!

Tym razem ściany wydawały się drzeć. Jennifer B. wstała z łóżka, zanim zdążyła pomyśleć, co robi. Zakaszła i ruszyła w stronę drzwi, czując tak silny ból głowy, że nie potrafiła skupić wzroku.

W korytarzu spotkała Jennifer L. Jennifer L. również kaszłała i wydawała się tak samo przerażona. Obie miały na sobie koszulki i spodnie od dresu, obie też wyglądały żałośnie.

– To dobiega z pokoju Jennifer – powiedziała Jennifer L. Miała ze sobą ołowianą rurę z uchwytem owiniętym czarną taśmą.

Jennifer B. zezłościła się na siebie, bo zapomniała swojej broni. W ETAP-ie nie wyskakiwało się z łóżka w środku nocy nieuzbrojonym. Wróciła do łóżka i wyciągnęła maczetę. Tkwiła schowana w pochwie, pomiędzy materacem a sprężynami łóżka, jej uchwyt wystawał. Nie była bardzo ostra, ale wyglądała na niebezpieczną i taka była. Ostrze długie na dwie stopy i potrzaskany, drewniany uchwyt.

– Jennifer? – zawołała Jennifer B. w stronę pokoju Jennifer H.

Kkkrrraaafff!

Drzwi zaskrzypiały w zawiasach. Jennifer B. otworzyła je, trzymając maczetę w gotowości. Jennifer L. stała za nią, trzymając rurę w drżącej dłoni.

Jennifer H. zawsze bała się ciemności, więc w rogu pokoju miała bardzo małe słoneczko Sammy'ego, wiszące pod czymś, co kiedyś było abażurem. Światło było zielone i upiorne, bardziej przerażające niż pomocne. Oświetlało teraz Jennifer H. Miała na sobie nocną koszulę w kwiaty.

Stała na łóżku. Jedną ręką trzymała się za gardło, a drugą za brzuch.

Wyglądała, jakby zobaczyła śmierć.

– Jen, wszystko w porządku? – spytała Jennifer L. Jennifer H. wytrzeszczała oczy. Wpatrywała się w dwie współlokatorki. Jej brzuch wił się w konwulsjach. Pierś ciążyła.

Ścisnęła się za gardło, jakby chciała się udusić. Jej długie, jasne włosy były mokre, pokryte potem, kleiły się do jej twarzy i szyi.

Jej kaszel był szokująco głośny.

Kkkrrraaafff!

Jennifer B. poczuła w powietrzu eksplozję. Coś mokrego wylądowało na jej twarzy.

Dotknęła wilgotnej substancji wolną ręką i spojrzała na nią, nie rozumiejąc, co to może być. Wyglądało jak kawałki surowego mięsa, jak skóra kurczaka.

Kkkrrraaafff!

Siła kaszlnięcia rzuciła Jennifer plecami o ścianę.

– O Boże... – jęknęła. – Och...

Kkkrrraaafff!

Tym razem Jennifer B. zobaczyła to. Kawałki czegoś mokrego i surowego wylatywały z ust Jennifer H. Dziewczyna kaszłała kawałkami swoich wnętrzności.



GONE: Zniknęli
Faza czwarta: Plaga

PREMIERA: 6 kwietnia 2011